

Nr 23 (29), 3 – 9 SIERPIEŃ 1947
Cena 20 zł

Świat
MŁODYCH

FILM POLSKI

W rocznicę powstania...



PAMIĘCI NIEZNANEGO POWSTAŃCA

Lat miałeś chyba czternaście — nie
wiecej.
Matka codziennie tak drżała o ciebie.
Tyś kochał matkę. Lecz od niej goręcej
Miasto kochałeś w tej krwawej po-
trzebie.

Tam, gdzie żelazne kikuty dziś sterczą,
Gdzie cmentarz murów upiornie się jeży,
Pod cekaśmów melodie morderczą
Broń przносиłeś — strawę dla żołnie-
rzy.

Kto jak ty słuchał ulicy nakazu?
Kto jak ty płonął sprawiedliwym gnie-
wem?
Kto jak ty, chłopcze, umiał bez rozkazu
W ognie iść z wiarą i na śmierć — ze
śpiewem?!

I nagle — krew boleśnie broczy z rany,
Seria wystrzałów jeszcze wściekle war-
czy.
Tego wieczoru do matki stroskanej
Wróciłeś, chłopcze, jak tancerz — na
tarczy.

Każdy tu kamień, każde rumowisko
Powtarza z dumą dzieje twojej sławy.
Twój grób — nieznaną, nieznaną —
nazwisko,
lecz duch twój krąży wśród ruin War-
szawy.

Leopold Lewin



Cłonkowie Rządu przechodzą przed frontem traktorów, ofiarowanych Ministerstwu Rol-
nictwa przez Ministerstwo Przemysłu.



W dniu 22 lipca ruszyło w Warszawie 19 nowych autobusów, zakupionych we Francji.

FOTO J. JARACZEWSKI

ze święta



Paryż w rocznicę obchodził dzień 14-go lipca. Tłumy mieszkańców wyległy na ulice miasta, by radością, śpiewem i tańcem uczcić święto Republiki. Wielkie hasła Rewolucji Lipcowej do dziś żyją w narodzie francuskim. Zapewno w imię tych hasel wystrząsnęto ostatnio min. Bidault, który obsłużył ambasadorem Wk. Brytanii i Stanów Zjednoczonych, że Francja nie zgodzi się nigdy na amerykańską decyzję odbudowy potencjału przemysłowego Niemiec.



Azja, dółka i dalsza, uchodziła zawsze za kraj tajemnic i kontrastów. W gruncie rzeczy — jak na całym świecie — jednym powodzi się tam źle, drugim dobrze, a walki międzypartyjne i dążenia wolnościowe są takie same, jak gdzie indziej. Królami Saudi — Arabii, Ibn Saudowi i powodzi się niezauważalnie dobrze. Ten rzeźki, 67-letni starszyszek doznał 32 synów. Biorąc pod uwagę dalsze potomstwo i licznych członków rodziny, można stwierdzić, że w każdym razie samotność mu nie grozi.

Nie wie wszystkich jednak palcach Azji nastroj jest tak pogodny jak u króla Ibn-Sauda. W Burmie panuje żaloba. W wyniku zamachu dokonanego podczas posiedzenia Rady Wykonawczej Burmy, zginęło 7 ministrów. Zabici byli członkami delegacji burmańskiej, która popłynęła układowo z Wk. Brytanii, sprzączy napadu szukać należy zatem wśród przeciwników tego układu. Pandit Nehru, wiceprezydent rządu Indii, w depeszy kondolencyjnej do rządu Burmy obwieszczył: „Burma, Indie, jak w ogóle cała Azja, są ofiarami stosowania przemocy”.

W amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec utworzono „oddziały wartownicze”, które składają się z Niemców i, między innymi, z Polaków. Są to faszysty polacy, byli członkowie N.S.Z., którzy obecnie, nie widząc w Polsce „Lebensraumu” dla siebie, wołą nie wracać do kraju...

FOTO SAP



To szubienica cuchnie nętką... Rząd Iranu, który jest na służbie kapitalistycznych trustów naftowych, rozpoczął ostre represje przeciw działaczom demokratycznym Azerbejdżanu. Oto jedna z egzekucji publicznych w Tabrizie.



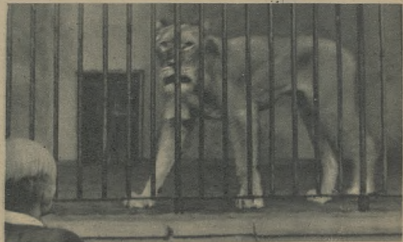
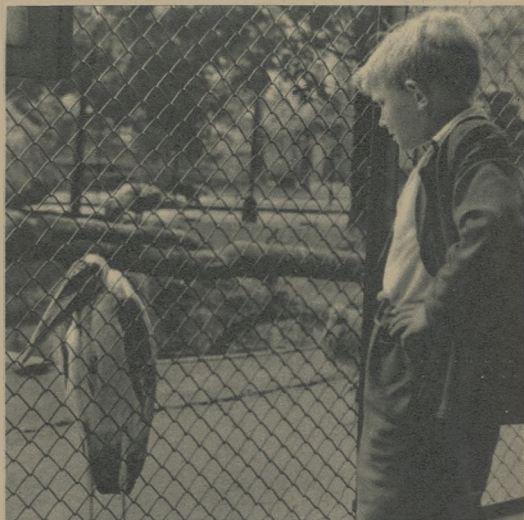
W POZNAŃSKIM

ZOO

Ogród zoologiczny posiada dzisiaj wielostronne znaczenie. Młodzieży zamieszkałej na ograniczonym terenie i tylko ten teren znajdującej umożliwia praktycznie doskonałenie się w przyrodzie. Tutaj może ona uporządkować teorię wyniesioną ze szkoły. Również i zakłady naukowe mają w ogrodach zoologicznych bogatą składnicę materiału i idealny teren do doświadczeń. Anatom, systematyk i lekarz czerpią również materiał doświadczalny z ogrodów zoologicznych. Towarzystwa przyrodnicze i hodowcy korzystają często z możliwości ZOO w sprawach gatunku i doboru rasy.

Tak ze zwykłego ogrodu-atrakcji, z miejsca rozrywkowego przelotczyli się dawny zwierzyńiec w bardzo szeroko pojętą placówkę naukową. Dawniej rzeczą najbardziej listotną były względy kasowe, dlatego też posiadacze ogrodów w ten sposób je urządzali, aby przez pewnego rodzaju sensację ciągnąć jak największe zyski. Dzisiejszy ogród zoologiczny grupuje zwierzęta niejednostajnie, twórcy krajobrazu biologiczne, właściwe danemu zwierzęciu. Kraje oddzielające zwierzęta od publiczności są coraz częściej likwidowane i zastępowane rowami.

Poznański ZOO znany był już długo przed wojną szerokiej rzeszy miłośników przyrody. Dziś, aczkolwiek niezmiernie ucierpiał





przez wojnę i okupację, wraca do dawnego stanu.

Badając historię tego ogrodu spostrzegamy szamleńny fakt: pod „opieką” Niemców ogród zawzasz chylił się ku upadkowi. Przypomnieli nam się, że ogród ten został założony w roku 1860 przez grupę mieszczan. W roku 1874 liczył on już 688 zwierząt. Później nastal okres administracji niemieckiej i ilość zwierząt zmalała w roku 1919 do 243 sztuk. Największy rozkwit ZOO przypada na lata przed 39 r., kiedy to stan zwierząt wynosił 1184 egzemplarzy. Wśród nich znajdowały się bardzo rzadkie i szcgie okazy.

Niestety wojna i rabunkowa gospodarka niemiecka doprowadziły do zupełnej niemal zagłady. W chwili objęcia zarządu ZOO przez dyrektora W. Rakowakiego (20.I.45) jedynie 176 niedobitków znajdowało się w powalnie zniszczonych pawilonach.

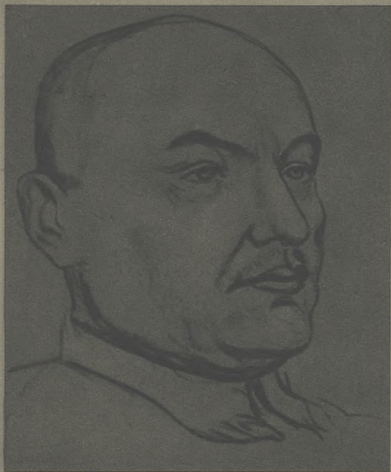
Faktycznie poznański ogród zoologiczny wcale wiedy nie istniał. Zagradzającej katastrofie energicznie przeciwdziałał cały personel ogrodu. W krótkim czasie wyremontowano poszczególne klatki, lecz nie było w nich jeszcze zwierząt. Mimo wielkich trudności w marcu 46 r. ogród podniósł swój zwierzęstan do 667 sztuk. Frekwencja zwiedzających osiągnęła w tymże roku imponującą cyfrę 288.000 osób, czyli o sto pięćdziesiąt tysięcy więcej niż w roku 39.

Przez pięknie zastrzeżone aleje znów przeauwają się wycieczki szkolne i inni zwiedzający. Ogród znów tyje i oddycha pełną parą. Posiada szereg bardzo rzadkich okazów. Ma najlepsze nadzieje na przyszłość. Trzeba bowiem ogród unowocześnić, kraty zastąpić rowami, wybudować nowe pawilony, rozszerzyć całokształt. Wierzymy, że poznanlacy tego dokonają.

Jerzy M. Jarczewski

Fotografie autora





Nagle otrzymaliśmy z dowódcą dywizji rozkaz natychmiastowego stawienia się w Sztabie Armii na odprawę. Wskoczyliśmy do samochodu i ruszyliśmy „co kawał wykoszcy”.

W dużej sali szkolnej zebranych już było 100 oficerów, reprezentujących wszystkie jednostki 2-ej Armii. Wszyscy w podnieceniu oczekiwaliśmy jakiegoś zasadniczego rozkazu.

Komenda: „Powstań!” Szef Sztabu Armii melduje przybytemu gen. Świerczewskiemu oficerów gotowych do odprawy.

General jakichś świeży, jakby odmłodniały, stanął na katedrze

„Generałowie, oficerowie! Przed trzema godzinami otrzymałem rozkaz Naczelnego Wodza. Marszałek powierza nam ogromne zadanie, które mogę Wam streścić w jednym słowie: „Nisza”!

Konkretnie: wyznaczmy Niemców za Niszę. Polskim orzechem i krwią serdeczną ustanowimy z powrotem polską granicę Polski! Ta krew będzie wobec świata najlepszą legitymacją naszych praw do tej ziemi!

Zadanie dalsze: sforsować Niszę w alinie przez hitlerowców umocnionym rejonie; wderać się na terytorium Niemiec, maszerując na Drezno, by odciąć skoncentrowane tam silne pancerne ugrupowania niemieckie i nie dopuścić, by ruszyły one z odciętej otoczonemu i szturmowanemu przez bohaterką Armię Czerwoną i naszą 1-ą Armię W. P. — Berlinowi!!!”

Milczenie, które dotychczas zalegało salę, zamieniło się nagle w burzę głosów. Fala entuzjasmu przezwalała tamę dyscypliny. Porwałymi się z miejsc, całując się serdecznie druz z drubem.

General stał przed nami, młodzieńczo uśmiechniętymi oczami brał udział w ogólnej radości. Nerwowo tik ramienia zdradzał, że jest silnie wzruszony.

„Oficerowie! Chciałbym, żeby ten rozkaz, jego historyczne znaczenie, przełomowe dla przyszłości i wielkości Polaków, dotarło do świadomości każdego żołnierza 2-ej Armii. By żołnierz zdawał sobie sprawę, że każdym krokiem ku Nisze i każdym krokiem pociągniętym już na terytorium Niemiec — wkrocza w historię Państwa i Narodu Polskiego. Wymaszować żelazem, o godzinie 20-ej, wieczorem!”

Najbliżsi stojący podakrocyli do Generała, pochwycili Go na ręce i podnieśli w górę.

„Niech żyje Marszałek! Niech żyje General Świerczewski!”

General dyskretnie otarł łzę z oka.

Na ucisłych marszach bojowych okopaliśmy się nad Niszę. Jak wynikało z otrzymanego rozkazu, general Świerczewski zadowolony przeprowadził główne uderzenie na wąskim kilkukilometrowym odcinku, siłami 5-ej i 9-ej D. P., przy wsparciu 7-ej Dywizji.

Nasza 10 Dywizja otrzymała długi, przeszło dwudziestokilometrowy odcinek, z zadaniem nacierania na prawym skrzydle Armii i niszczenia wszystkich żywych sil nieprzyjacielskich, które głównym uderzeniem Armii odrzucono zostają w prawo, tam, ku nam.

Rozgoryczone zapanowało między oficerami naszej Dywizji ogromne, „To jak to — inni będą nacierali a my tylko oczyszczali!”

Tymczasem nasza zadania było wcale nielatte.

Przewiętły brzeg Niszy okazał się, już po pierwszym zwładzie, gęsto usiany betonowymi bunkrami niemieckimi, mistrzowsko zama-

WSPOMNIENIA O GEN. ŚWIERCZEWSKIM

Pułk z pułkiem ruszał do natarcia pod przykryciem artyleryjskiego ognia. Działa, haubice, moździerze wściekle płyły ostrymi nabojami. Tuż za wałami ogólnym posuwali się słabkami regularne szeregi piechoty. Żołnierz, w wielokrotności nieustraszenia, szedł z początku niepewnie pod huraganowym ogniem pocisków, rozrywających się już przed nim, potem nabrał pewności siebie.

General z zadowoleniem obrócił się do dowódcy dywizji. „Tak, pułkownik, tak samo posuwali się nad Ebro, tak samo szli pod Leningo, tak szturmowali Pragę. Wyobraź sobie, jak to będziemy nacierali na Berlin — to będzie tajfun, który wszystko co szwabińskie znieście w proch”.

Niedaleko od nas stały stanowiska artylerii dywizyjnej. General podszedł bliżej, by przyjąć się pracy artylerzystów. Właśnie podszliśmy pod stanowiska moździerzy.

Powiem żołnierz, wkładający miły w lufy moździerzy, zdenerwowany widocznie tym, że robotę jego obserwuje z odległości kilku kroków sam general — pomylił się i włożył miłą w otwór moździerza przeciwnym końcem — zapaliliśmy do góry. Drugi żołnierz mechanicznie podciągnął za łańcuch. — Granat

nie wyleciał! Żołnierze stali oniemiali, nie wiedząc o robie.

Jakś młodzieńki rekrut wykrzyknął: „Rozzerwie ich w moździerz!” i nagle wszyscy rozpięchli się.

Zanim zdolałmy się zorientować o co chodzi, general Świerczewski podszedł do moździerza, wyciągnął granat, założył go władcwie i wystrzelił.

Obrócił się do obsługi. Żołnierze stali szeregami, wyciągnięci, o kilka kroków z tyłu. Twarze ich były czerwone ze wstydu. Nagle młodzieńki rekrut podbiegł, zgład się jakby w ułkanie, pochwycił rękę Generała i przycisnął ją do ust.

General pogłaskał go po głowie. „Nic, synu, nie przesnuj się tym wypadkiem, w przyszłości już więcej głowy nie stracisz, nawet w najgorzej sytuacji, prawda?”

Wrocław płonął. Pod huraganowym ogniem artylerii radzieckiej wznosiły w powietrze coraz nowe punkty oporu osaczonego garnizonu hitlerowskiego. Wilezym wzrokiem spoglądaliśmy ku Wrocławowi, obcwi krwi niemieckiej.

szkowaliśmy w gęstym lesie. Między stanowiskami niemieckimi w lesie, a nam rozpościerała się naga, piaszczysta plaża, na której nawet zając by się nie ukrył.

Zdobycie przyczółka na przeciwnym brzegu Nissy, umocnienie się na nim, natarcie wreszcie na las, obsiany zdradzieckimi minami, obsadzony gęsto bunkrami, strzegący tajemnicy przybywających wciąć i krążących oddziałów nęprzycjacielskich — było zadaniem trudnym. Tym bardziej że Dywizja była zdana wyłącznie na własne siły ogniowe, gdyż wszystko co miało w rozporządzeniu Dowódcą Armii — artyleria ciężka, czołgi, samoloty żurmujące — zostało rzucone na odcinek głównego uderzenia.

Dwa baony w dwóch punktach stoworowały Nissę i zajęły stanowiska na nagiej plaży, ledy wśkieły kontratak Niemców, którzy z szaleństwem rozpaczy bronili się przed okrażeniem i wytopieniem, wykorzystując przewagę pozycyjną — odrzucił je z powrotem na pozycje wyjściowe. Wtedy zginął bohaterki dowódca batalionu, ś.p. kpt. Betley.

Nazajutrz rano powtórzyliśmy atak na rzecę. Walki trwały cały dzień. Wieczorem mieliśmy wreszcie po przeciwnym brzegu, umocniony na wąskim przyczółku, jeden batalion.

Chłopy leżeli w płytkich, na przedzie wykopanych rowkach strzeleckich na nagim piasku, widoczni jak na dłoni dla Niemców, którzy o kilkadziesiąt kroków w lesie, na wzgórzach, siedzieli w betonowych bunkrach.

Utrzymanie przyczółka było kwestią życia i honoru Dywizji.

Na przyczółku pod morderczym ogniem nęprzycjaciela saperzy przerzucali most. Po nim miała się nazajutrz przeprowadzić na drugi brzeg Nissy cała Dywizja.

Czy utrzymają?

Wówczas to została napisana ułotka specjalna dla chłopców z przyczółka.

„Żołnierze i Oficerowie Przyczółka! Dowódca 2-jej Armii, gen. Świerczewski wie, że zdobycie przyczółek na Nissie i że trwanie na nim!

Nie ma takiej sły, która by naruszyła zaufanie, jakim darzy Was Ojczyzna! Trwajcie na posterunku, który powierzył Wam generał Świerczewski!”

I przetrwali piękną noc, choć zostało z nich niewiele.

Nazajutrz rano Dywizja przeprowadziła się po zbudowanym w ciągu nocy moście na drugi brzeg i natarła lawiną, gnając przed sobą uciekających w popłochu Niemców.

Imię generała Świerczewskiego było w czasie tych hitlerowskich dla Polski dni zawołaniem bojowym — symbolem hartu i nieugiętości Polaka.

Silne hitlerowskie formacje pancerne, z osławioną dywizją pancerną SS Herman Goering na czele, wyruszyły z miejsca swej koncentracji pod Dreznem na odsiecz Berlinowi. Była to ostatnia groźna siła niemiecka, zdolna do przeprowadzenia operacji dywersyjnej i ostatnia szansa hitlerowska.

Pod Budziszynem 2-ga Armia W. P. zatamowała hitlerowską falę pancerną, płynącą ku Berlinowi. Rozpoczęły się heroiczne boje lokalne.

Jednostki 2-jej Armii, kierowane przez gen. Świerczewskiego, rozbiły na poszczególne czynniki stalowego jadłowatego weża hitlerowskiego, wciągając je walką i i gromiąc każdy z odcinka Stalowy potwór został w swym

pochoździe wstrzymany. Ostatnia nadzieja Berlina została udermionna. Lecy w tych ciężkich bojach tania, którą przed hitlerowskim załewem pancernym stanowią 2-a Armia, została sama naruszona w kilku punktach, w których hitlerowskiej fali udało się przecisnąć strumieniem na tyły Armii.

Walka stała się dramatyczna. Walczono na życie i śmierć: „Kto kogo?”

Łączność szeregu jednostek ze Sztabem Armii została przerwana.

Zabłąkany pułk hitlerowskich czołgów natarł na wioskę, zajęłą przez Polaków, nie zdając sobie sprawy, że w wiosce tej znajduje się właśnie Sztab 2-jej Armii i sam jej dowódca, gen. Świerczewski.

General Świerczewski, na czele ewego Sztabu, walkę przyjął i oboście nie kierował. Czolgi niemieckie zostały odparte.

Na siedmiu wysłanych przez gen. Świerczewskiego oficerów sztabowych dla nawiązania łączności z jednostkami — czterech zginęło, lecz łączność i współdziałanie poszczególnych rodzajów broni zostały nawiązane.

Skoncentrowana w rejonie Budziszyna Armia, po rozbiu pancernych dywizji niemieckich, kontynuowała zorganizowany marsz.

Surowe rozkazy gen. Świerczewskiego i postawione przezń krótkie terminy w osłaganie wyznaczonych punktów strategicznych — zmuszały poszczególne jednostki do maksymalnego wysiłku i pospiechu. To też pod Budziszynem, na skrzyżowaniu szos powstał zator. Wielokilometryrowy poczynny wąż naszych zmotyrowanych jednostek — stanął. Gdzieś tam z przodu zrobił się „korek”.

Pięcno udałem się naprzód, by zbadać przyczynę niebezpiecznego „koraka”, gdyż ta słoczona masa zmotyrowanych wojsk mogła łatwo ulec zombardowaniu z powietrza.

Na skrzyżowaniu dróg ukazał mi się następujący widok: czoła równoległych szeregów wojsk pchały się jedna przed drugie do przodu. Wyżsi oficerowie kłócili się między sobą, a co gorzej brali się za „za łyby”. Każdy wyciągał piśmienny rozkaz i powołując się na termin przysięgi, le musi natychmiast ruszyć pierwszą. Lecy inni przysięgali to samo.

Czołwicy pomieszali się ze sobą i rzeczywiście żaden oddział nie mógł w sposób zorganizowany ruszyć.

Wtem z przeciwnej strony nadjechała linuzna. Poznałem smocłod.

Wyskoczył zeń gen. Świerczewski z laską w ręce. Bez słowa skoczył w sam środek tego „rozgardaszu” i laską zaczął rozrządzać kłócących się, natychmiast doprowadzając zacietrzewionych do przytomności.

General chostał krótkim, urwanyim glosem, jak biczem. Wydane rozkazy w ciągu kilku minut rozkorkowały zator. W przeciągu pół godziny każda z jednostek maszerowała już pełnym gazem po wyznaczonym szlaku.

General stał na środku szosy i laską kierował tą zmotyrowaną masę wojska.

Tak, gdy wymagała tego sytuacja, gen. Świerczewski stawiał się bezwzględny, twarzą do przodu, jak stal tej maszyny w fabryce na Woli, gdzie pracował, jako młody chłopiec

1-szy maja 1945 roku. Już trzeci dzień 25 p.p. stał w miejscu. Na wąskim przemyku między dwoma jeziorami zalegli nasi żołnierze. O 50 mtr. przed nami okopany nęprzycjaciel. Niemcy zajęli z góry przygotowane, bardzo dogodne stanowiska. Nacięrać w

tym przemyku można było w silce co najwyżej jednej kompanii. Lecy każdy śmiełek, który poderwał się z ziemi, ubył natychmiast a szyku, ugodzony morderczym ogniem Niemców, którzy mieli pod ostrzałem każdy centymetr tego wąskiego pasa ziemi. Na przemyku tym pułk poniósł w ciągu dwóch dni duże straty — bez rezultatów. Nie posunął się ani o metr, choć sąsiednie pułki z lewa i z prawa wysunęły się już daleko na przód.

Ze Sztabu Dywizji wyjechałmy do pułku. Trzeba było za wszelką cenę zmienić sytuację.

Był właśnie dzień 1-szy maja. W stojącej o dwieście metrów od przedniej pozycji, na wpeł rozbitiej pociskami chacie, zebraliśmy oficerów sztabu pułku.

Nagle przez wybite okno widzimy wysiadającego z „Willysa” gen. Świerczewskiego.

General, wbrew zwyczajowi, nie przywitał się tym razem z nikim. Poczulem skurec serca. General był bardzo niezadowolony. „Straciłem chyba w Jardo oczach całe zaufanie, którym mnie darzył?” — mignęło mi w myśli

„Tak — rzekł General — więc zebralicie się, by uroczyście obchodzić Święto Robotnicze. Bardzo ładnie, to Wam się chwali. A czy przyszły 1-szy Maja również macie zamiar świętować w tym samym miejscu?”

Stałmy przed nim, jak żaki. Każde jego grzyzące grono słowa, wbijało nam się w serca rozpalonym żelazem.

General obrócił się do dowódcy pułku. „Za mną marsz!” — i nie oglądając się na nas ruszył ku pozycji. Dookoła wstwały pociski. Odbywał się normalny pojedynek artyleri. Dowódca pułku podskoczył ku Generalowi:

„Obywatelu Generale — melduję, że nie mogę pozwolić. General jest gościem na moim odcinku i ja odpowiadam za życie Generala”.

„Milceć. Trzeba iść naprzód, a nie śmierdzić w miejscu. Ładne mi Święto Pierwszomajowe”

Zbliżyłem się i ja.

„Generalu, właśnie na chwilę przed Waszym przybyciem, przysięgliśmy sobie, że dzisiejszą święteczną wieczernę pułk będzie spowiadał w X. o piętnaście kilometrów stąd”.

„Dobrze — chcę to sam zobaczyć!”

General wszedł do okapu.

„Chłopy — zwrócił się do żołnierzy — rym mi natychmiast przepok do swawskich pozycji, tylko-tak, żeby tego nie zauważyli!”

Rozpoczęła się wświekla robota. Cztery dzieści metrów przepok w kamienistym gruncie przepokali żołnierze w ciągu półtoręj godziny.

„Zarzuć im granatami i po pobsku, na bagnety! Bić psuabratów!”

„Hurra!” — rozległo się minuz. Za chwilę byliśmy już w okopach niemieckich. Zginął major — szef sztabu pułku. Pułk, jak tygrys skoczył Niemcom do gardła i rwał ich w kawały. Niedobitki w popłochu uciekali, pozostawiając sprzęt i stopy pancernautów. W przeciągu czterech godzin pocisku pułk posunął się o 15 km. naprzód i zajął nowe pozycje. Linia frontu została wyrównana.

Świąteczną wieczernę pierwszomajową żołnierze nasi, choć śmiertelnie zmęczeni, spoczywali w dobrym nastroju.

General broni Świerczewski obchodził 1-szy Maja w gronie swych oficerów ze Sztabu 2-jej Armii.

Wieczerna była dobrze zastuczona.

W. Sewicki

WIELKI WĄDZ

Przeład autorstwa Adama Galisa 21)

Babcia zachichotała:

— Pewno słyszał to od matki! Czy miałaś coś przeciwko waszej wzięty?

— Bywał groźniej czasami.

— Twój ojciec — powiedziała babcia cierpko — ożenił się z kobietą, której całe plekko nie potrafiłoby rozbaćić.

— Podobałaś pałec do góry.

— Zależylabym się, że macie ochotę na popływanie.

— W czasie, babciu?

— Rozumiesz się. Kiedy powróciłaś z kąpielą dzim wam czyste ubrania. Ze starych ołowierkach.

Nie strzeżga go nawet słowem przed aligatorami, wędami wodnymi lub przed prądem rzeki. Bardzo mu było przyjemnie, iż ta sprawa rozumiała się sama przez się. Radowało go to, że babcia uwaga go za dość rozsądnego, by sam wiedział o co chodzi. Podobień dróżką do przystanku rzecznej. Babcia zamulała mroczną i głęboką. Riasa — brzozy! — lecz jej widać, płynąc serce potużak — się w ciży. Jedynie szybki ruch opadłych łacił wykazywał na rwypry prąd. Chwilę zastanawiał się, stojąc na drewnianym pomoście, a potem akoczył w rzekę, wypłynął na powierzchnię złębieńtu w pierwszych chwilach i raśno popłynął przeciw prądowi. Skierował się do brzozy, gdzie nurt był mniej wartki.

Jednakowoż prawie nie posuwał się naprzód. Ciepła roślinność parowała i zasłaniała obydwa brzozy. Został niejako przytwierdzony do jednego miejsca pomiędzy gajami dębów i cypryśków nadbrzeżnych. Wyobraził sobie, jakoby aligator go ścigał, popłynął rozpaczyć, z całym wysiłkiem. Mógł jednak kepte a potem drugą, płynąc zębą. Ciekawy był czy potrafi dołączyć się do drugiego pomoście, gdzie przybyłaj prom i zatrzymują się na postój stłaki komunikacji rzecznej. Popłynął w tamtą stronę. Nlako pochylony nad wodą konar nadbrzeżnego cypryśku ofiarowywał wygodne zakotwiczenie, więc chwycił gałęź i wyopczął nieco. Ruszył po chwili znów. Pomost zdawał się być bardzo daleko. Koszula i spodnie zawadziły Jodyemu w pływaniu. Chciałby pływad nago. Babcia nie pogodziłaby się o to. Ale co by też powiedziała! Ma Baxter, gdyby jej zdradził tajemnicę, iż Forresterowie owej pamiętnej nocy, grał i śpiewał na golasie.

Ruszył odkiem za siebie. Pomost przed domem babcii Hutto znikł za zakretem rzeki. Poczuli się nagle osamotniony w płynnym mroku rzeźmym. Zawrócił. Prąd chwycił ich obrac i rzucił naprzód. Walczyli z całych sił, by zbliżyć się do brzozy. Ale chwytliwe wodonoży zatrzymywały go. Pomyślał wiele strapić, że będzie tak musiał na łasce prądu popłynąć aż do Velusia Bar, wielkiego jeziora Jerzego, albo kto wie, może do samego morza! Walczyli na odstęp, usiłując chwycić się czegośkolwiek, dającego poczucie oparcia. Wastchlemlen ugłi wyczuł w pierwszym momencie płytkie dno pod stopami. Przytrzymał do pomostu i wylazł na drewniany płacyk. Wciągnął kilka razy głęboko powietrza, wyczuł się już strachu, rozgrzała go kąpiel rzeźmą i chwila niebezpieczeństwa.

Uważnie seszedł z pomostu: — Nie, mam zamiar puszcać się na głębokie wody. Młyny moje czasy brykania.

Wkrótce wyruszył z wody. Wrócił na tyły domku. Babcia Hutto przygotowała już czyste odzienie. Dla Pennego znalazło się obrac i rzucił do wody. Wyczuł panno Hutto, zbliżyła się niemal aż do stanożka Jodego, była koszula i spodnie Olivera, z których marynarz już dawno wyrwał.

Babcia powiedziała:

— Mówią, że jeśli się chowa rzeczy, to on sędzi — jak należy używać ich znów. Ile jest dwa razy sześć, Jody?

— Czatnaciade.

Penny odswiał się:

— Proszę nie pytać go dalej. Nauczyciel, który mieszkał u Forresterów i u mnie

zimy, sam nie widzi wcale umiał — jest tyle wadzących rzeczy od użytkowej nauki — zauważyła babcia Hutto.

— Wiem. Ale chłopiec powinien umieć czytać, pisać i rachować. Jody jednak czytał pewne książki z tą odrobina wiedzy, której mu sam mogłem udzielić.

Przebrali się w komórze. Doprowadzili wiony do porządku i poczuli się czysto i dobrze jakoś w wyprzedzonych szatach. Płegowała twarz Jodego promieniała z zadowolenia. Rowem niefortna czupryna ubliżyła się tym razem mocno zwitną wodą. Wciągnął wiame buty i wytarł z nich kurz wianymy, brudnymy koszulami. Raśnędł się głos babcii Hutto, więc poszedł do domu.

Jody wciągnął w nozdrza znajomy zapach. Nigdy nie potrafił oddzielić go akładników. Była to lawenda, której babcia używała do swych sukien. To było jasmie jak na dzień. Były tu również zasonne na siodła, ale osłanie nie kontakłami. I nieznoyby zapach młodu, zamkniętego w kredence. Lecz był jeszcze i zapach ciastek i tortów owocowych, które składały się na tę złożoną woń, oraz mlydo używane do mycia flaków. Oczywiście i mocny zapach kwiatów, płynący z ogrodu przez okna. A nad tym wszystkim, przyszo nagle Jodyemu na myśl, górowała woń rzeki, jej odorem. To samej rzeki przepływała poprzez dom, osadziłaż, był wonnej wilgoci i zuchd gnijących paproci.

Spojrzał przez uchylone drzwi. Dróżka wiodła wśród nagietków do rzeki. W okolicy zachodu popływały fale jak szczerze złoto. Prąd rzeki skierował myśli Jodego w stronę oceanu, gdzie Oliver borykał się z burzami i poznawał dalekie kraje.

Babcia przyniosła wino i ciastek. Jodyemu pozwolono wypić szklankę wina. Było ono tak klarowne, jak frólno rzeki! Impuler. Penny za znawstwem czytał warszani, ale Jody wolałby, żeby było nieco słodsze, takie naprzykład w smaku jak jekiny. W zamysłu jada ciastka i opamiętał się ze wtydem w momencie, gdy ujrzał, że opróżnił cały talerz. W domu oznaczano by to katastrofę. Ale babcia Hutto podeszła do kredensu i wróciła ze świeżą porcją specjałów.

— Nie pój sobie obładu! — powiedziała.

— Przepraszan, jakoś nie zauważyłem — bąknął zmieszany Jody.

Babcia Hutto poszła do kuchni. Jody pochłapał za nią. Zabrała się do krojenia mięsa na pierożki. Skrzywił się rozczarowany nieco. Mięso nie było dla Baxterów szczególnym amakolikiem. Ale gdy Babcia Hutto otworzyła drzwi płyciny, przekonał się, że były jeszcze inne potrawy do jedzenia. Babcia Hutto miała specjalny, żelazny piec do pieczenia. Zawartość ciastka była bardziej jętrząjąca, niż dania z otwartej kuchni w domu. Zamknięte dziewczki ukrywały wszelkiego rodzaju wymyślne specjalny w czarnym mlydo pieca. Ciastka smakowały na małą chwilę jego apetyt, ale przyjemne zapachy kuchni przynosiły znów ślóg do ust.

Wchłamy się tam i z powrotem od babcii do ojca. Penny nasadził głęboko w fotelu na błęgunach, w pierwszym pokoju od strony ogrodu. Pokryty go cieple. Spokój tu był, jakże nie podobny do podniecenia wiskity u Forresterów. Ciepła była jak ciepła kłoda zimowa. Penny wyczuwał całkowicie w tej atmosferze po codziennym troskach domowych. Jody zamarlował babcii swą pomoc w kuchni, ale babcia odparowała go z kwitkiem. Skoczył więc na podwórze, by polgrać z Fluffem. Stara Julia przyglądała się zmienną zwręźnikom. Zabawy tego rodzaju był jej różno obec, co jej panu. Jej znajęty, czarno brązowy pyzak miał na sobie smaczne poważy, godność pracowitego psa myśliwskiego.

(c. d. n.)



JAK WYWABIĄC PŁAMY

Kilka rad praktycznych

Nie tak wiele aspekt ubrania jak płamy: najpłekniejsza sukienka traci na wygiądaniu, gdy „dekorują” jej płamy z tuszcu czy ołowców i kobieta, która odsycają się je wiodły, sprasła wrażenie osoby niechępliwj, choćby posta tym była nienagannie ubrana i uczesana.

Na dokładne oczyszczenie naszej garderoby z plam musimy zwrócić szczególną uwagę w okresie wiosennym i letnim, gdyż w jaaskwarach bluzkach słocła wszelkie usterek i defekty znikają się w oczy. Wiemy z doświadczenia, że np. ciemny płasek opłdżany w posruy dośedz wodny wydzielał się nam b. porządny — tymczasem w pełnym świetle wiosennego dnia widać, że jest już wyrudniały na płasch, w swach nagromadził się kurz, a tu i ówdzie widoczne są zastarzałe plamy: trzeba go czyścić, a w „cięższych” przypadkach dać do chemicznej pralni, do generalnego remontu.

Płamy bywały różny: z tuszcu, rdy, ołowoców, straszenia, smony, atezaryny, jodyny, farb olejnych, trawy itp.

Poplamiona garderoba należy przede wszystkim starannie wytrząpać z kurzu, następnie rozłożyć na stole, podkładając pod splemiące miejsce złożony ręcznik. Jeśli plamy są tuste np. z mazią czy smalcu — smaczamy czyste gałganek w benzynie lub acetonu, ramy plamę tak długo, aż zupełnie zniknie.

Płamy z ołowoców wywabia się wodą gorącą z amoniakiem. Płamy z czerwonego wina — ciepłym mlekiem, płamy z jodyny — mlekiem, spirytusem lub wodą utlenioną; zaś smoly — najpierw maślan, skolei benzyną i terpentyną. Płamy ze atezaryny lub wosku — pranie się gorącym żelazkiem przez białką, w którą atezaryna łatwo wnikła. Białej najładniejszą do wywabiania są płamy z żółci, zwłaszcza zastarzałe. Na świeżo — czyścić się je gorącym sołem cytrynowym. Jeśli plama rdy jest zadawniona — trzeba material w tym miejscu namoczyć dobrze w gorącej wodzie i pocięrać plamę solą szaccawikową, rozpuszczoną w ocie, trzymając tkaninę nad parą. Zwracamy uwagę na konieczność namoczenia materialu w wodzie, gdyż czyszczenie solą szaccawikową na sucho grozi „zrobieniem” sztery.

Płamy z farb olejnych wywabia się terpentyną, później szarym mydłem. Płamy z atramentu — cytryną, płamy z trawy — czystym alkoholem, płamy z krwi — zwykłą wodą z mydłem, płamy po palęjkach i owadach roztworom boraksu (1 łyżeczka na pół szklanki wody). Najpopliższe plamy, tworzące się poproszu z kurzu i brudu — czyścimy smażką, zmoczoną w mieszaninie al. koblolu i wody — na materiałach wełnianych lub roztworom amoniaku — na tkaninach jedwabnych.

Płamy z jaj — pomszają w zwykłej, gorącej wodzie. Najlepiej pomszad, na wychodną, później drobnie przesiebać parzocięciem lub smażką, a dopiero wtedy zmyć smażką umoczoną w gorącej wodzie.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga: trzeba być bardzo ostrożnym przy wywabianiu plam z materiałów farbowanych w domu czy nawet w pralni chemicznej, gdyż material farbowany może łatwo „puścić” i jedną plamę, sbył gorzliwie wywabiana — możemy zaszkodzić drugą, tym razem już „nieleczalną”. Gdy nie jest się pewnym gatunku materialu i trwałości barwnika lub nie zna się pochodzenia plam — lepiej jest powożycy wysuszenie fachowym rękóm. Barbara

Św Jerzy

Wąski pasaż ulicy, gdzie w śródmieściu Warszawy. Dwie szare ściany ciasno do siebie przywarłych kamienic tępo patrzą przed siebie wybaluszonymi oczodołami okien. Sierpniowe słońce kałeczy się na potrzaskanych szymbach.

Głucho zawarte bramy domów grożą wytkniętymi łufami karabinów. Każdy dom to forteca, to cząstka wolnej stolicy. Powstanie trwa.

U wylotu ulicy — barykada. Przewrócony na bok tramwaj przyniósł do bruku tabliczkę „nur für Deutsche”. Zwalinka chodnikowych płyt i worków z piaskiem otaczają najeżony metal podwozia. Wśród pustej ulicy barykada jest czymś zupełnie naturalnym. Jej patos, z jakim zaległa w poprzek jezdnii, nikogo nie dziwi. Pieczołowicie krzątają się przy niej. Tronkliwość wypieniają łuki między tramwajem a ścianami kamienic. Znoszą kamienie i meble.

Z głębi ulicy, z tamtej strony barykady, nadleciał niski gwizd. Na barykadzie wszyscy instynktownie przywarli do ziemi. Gwizd przeszedł w jęk, zakłócając, urwał się raptem i na środku jezdnii podniósł się w górę pierzasty słup ognia, dymu i kurzu. Zadrzały mury domów. Posypało się szkło.

— Czołgi! — mały chłopiec oderwał się od barykady i pobiegł pędem do najbliższej bramy. Zza rogu szły dwie niekiształne, brylowate masy, spowite chmurami kurzu. Od czasu do czasu w kurzawie błyskało się i wtedy za barykadą wytryskiwały w górę niebieskawe — rude dymne pięści, rozrzucając dokoła odłamki gorącego żelaza i czerepy bruku. Na barykadzie strzelano gwałtownie. Czołgi rosły w oczach. Już można było rozoznać czarne, białe obramowane krzyże, brunatne blachy pancerne i poządlawie wyciągnięte do przodu paszce dział. Teraz już i barykada wstrząśnięta została wybuchem pocisku. Ten i ów stoczył się ze stanowiska.

Inni stracili głowę i chyłkiem przesuwali się pod ścianami domów, szukając schronienia. Broniło się już tylko kilku ludzi...

Wtedy na worku z piaskiem stanął ten, który objął komendę. Nie znalazł go. Miał na sobie roboczy kombinazon, brudny i podarty. Długie ciemne włosy wiały na wietrze. Umiął dowodzić. Jego ostry, metaliczny głos słychać było wyraźnie poprzez huk kanonady. Szarzelaliśmy bez przerwy.

Czołgi podchodziły pod barykadę. Wsparty na lokciu, człowiek w roboczym kombinazonie obserwował zbitające się kołosy. Zaprzestały ognia z dział, były już zbyt blisko. Zato pociski karabinów maszynowych cięły gęsto powietrze. Na rumowisku, które kiedyś było tramwajem, na porożrywanych worach piasku, wśród betonowych płyt chodnika i potrzaskanych mebli strzylał broni ręcznej zamknięty.

Ten, który objął komendę, rozejrział się. Pozycja była stracona. Obojętne, niezrozumiale obojętne i ciche leżały ciała poległych. Tu i ówdzie, ledwo widoczni spod kurzu, tkwili jeszcze obrońcy. Szykowano granaty.

Tuż obok przycupnęła dziewczyna. Jaane, mokre od potu włosy lepiły jej czoło. Patrzyła na niego straszonymi, zachłwycionymi oczami. Ręka trzymała jeszcze niepotrzebny już karabin.

— Szkoda, pomyślał, szkoda... Dziewczyna wstrząsnęła się. Podpełzła bliżej. Odrzuciła karabin i jej wilgotne ręce z całej siły uczepliły się jego szyi. — Słuchaj — szepnęła przejmująco — słuchaj! Już nic nie pomoże. Zejdźmy z barykady.

Spotkali się oczyma. Jej ciałem stało się wótkie i drżące i chwilę wspierał je, żeby nie upadło. Potem odepchnął jej przytrzymał ręce i dwoma skokami przeszedł barykadę. Dziewczyna krzyknęła dziko.

Biegł już w stronę czołgów. W obu rękach trzymał granaty. Lufy karabinów maszynowych skierowały się na niego i gęstym ściegiem szarpały bruk. Potykając się, dopadł pierwszego czołgu. Sekunda — i z metalicznym jękiem rozwarły się łańcuchy, blachy wygięły się i czołg stanął. Z poszarpanych pancernych płyt wydobyły się kłęby dymu. Zgrzytnęły zawiasy, gwałtownie odrzucone drzwiczki ukazały czarną czeluść wjazdu. Załoga opuszczała pospiesznie dymiący czołg i pędem rzuciła się do drugiej maszyny. Uczeplił się, gdzie się dało, przykleili się do stalowej masy. Czołg zadrapał w miejscu, zawrócił i odjechał pełnym gazem.

Nad człowiekiem w roboczym kombinazonie pochylił się towarzysz z barykady. Polczyli na nosze. Zanieśli.

Szpitalik był w małym magazynie za apteką. Był apłekarz, pani doktorowa, magister i ksiądz. Obok noszy przyklejła dziewczyna z barykady, śledzi ruchy sanitariusza. Usta jej są białe i martwe. Pani doktorowa złożyła ręce. Kiwa głową, regularnie, rytmicznie, wzdycha. Taki młody! Taki dziśny! Ksiądz z magistrem wyczekują chwili, gdy ranny odzyska przytomność. Właśnie drgnęły powieki. Orzechowe oczy spojrzwały współprzymiotnie i zamknęły się znnowu. Magister ujął dłoń leżącego w swoje białe, kwasami poplamione palce. Przytknął ucho do piersi. Spochmurniał. Ksiądz pochylił się nad ciałem. „Czy chcesz, kochany chłopcze, czy nie chciałbyś się wypowiedzieć?”

Podniósł się powieką, ranny spojrzal na księdza. — Nie... Dziękuję księdzu... — Ksiądz zmarezczył brwi. Wśród obecnych podniósł się szmer. „Jako — doktorowa uważała za swój obowiązek interweniować — czyż nie będziesz się czuł lepiej po spowiedzi, mój drogi dzieciaku, czy... „Przerwała. Ranny uśmiechał się. — Nie — powiedział jeszcze raz. Ja nie mogę.

Potem jego oczy zaczęły gannać. Gasła cała twarz, ręce i włosy... Wtedy dziewczyna przy noszach rozplakała się, głośno, żarliwie. Powoli obrócił w tę stronę głowę. Gasnącą ręką poglątał się dłoń. Popatrzył. „Nie płacz — powiedział — ja jestem żyd”. I skonał.

— To nie do wiary, jaki on był podobny do świętego Jerzego! — zapnęła pani doktorowa.



M. ZYDLER

Przyjacielu!

Przecież to tylko pies! — powiedziano mi.

A jednak czemuż mi tak gorzko, czemu dręczy mnie poczucie wyrządzonej ci krzywdy, piesku... Wyrzut, że cię opuściłem w potrzebie pozostanie mi już widocznie na zawsze.

Poznaliśmy się, kiedy miałeś zaledwie cztery miesiące. Byłeś mały, kudłaty, ciemnego, nieokreślonego koloru i — nie robię ci z tego zarzutu — śmieśniy... Przywiozła cię Ta, która później odeszła ode mnie, i kiedy trzymając cię na rękach, zbiłaś się w stronę naszego domu, wyrwałyś się jej ruchami gwałtownymi i nieokrzęsianymi, a wzrok miałeś zgola dziki. Położyłem ci dłoń na łebku, pomiędzy pośpiesznie załamany uszami i z lekką podrapałem.

— Biedny, dobry piesek — powiedziałem łagodnie.

Uspokoileś się od razu i wcale nie po psiemu spojrzales mi prosto w oczy.

— Postaw go! — odezwał się do Niej, bo przyciskała cię zbyt mocno do siebie.

Znalazszy się na ziemi, na własnych nogach, wyglądałeś jeszcze śmieśniej. Ty, młody wicekról, byłeś podobniejszy raczej do dużego szczura. Ogon, późniejsza twoja ozdoba, gruby i puszysty jak u lisa — był teraz cienki jak warkoczyk osmoioletnego dziewczątka i zwał się smętnie, zupełnie bez żadnego połotu.

Nachyliłem się i założyłem ci przygotowaną na twój przyjazd obrozę. Okazała się o wiele za duża, pomimo że zapaliłem ją na ostatnią dziurkę. Popatrzyłeś na mnie ciemnozostymimi oczami, zdziwiony, jak mały bobas w sztywnym ojcowskim kołnierzyku, sięgającym mu uszu.

Rozeźmieliśmy się oboje jednocześnie: Ta, która nie rozumiała nigdy powodów mojej radości i ja... Było to takcie niezwykle, że spojrzeliśmy po sobie zaskoczeni, a w spojrzeniu tym była wątpliwość porozumienia i jakby zadowolenia, że jednak potrafimy odzwierać to samo. Ale trwało to krótko, bardzo krótko.

Nazwałem cię po prostu: „Szary”. Imię to podobało ci się najoczywiściej, bo już pierwszego dnia odpowiadałeś na nie widocznym zrozumieniem, po kilku zaś — wskazywałeś całym swoim wesołym zachowaniem, że wygodnie ci w nim, jak czelwiewi w starym, luźnym ubraniu.

Mnie także było dobrze z tobą, piesku... Uczylem cię przychodzenia do nogi, skakania na rozkaz do wody i w wyższy, aportowania, pilnowania mojego ubrania, kiedy się kąpałem, jednym słowem — sztuki psiego życia, która wcale łatwa nie jest.

Byłeś pojętany, uczyłeś się chętnie, ale już do prawdziwej doskonałości doszedłeś w skokach na wysokość istotnie niebywałą, bo przeszło 2 metrów. Byłeś jednak próżny i najpiękniej, najwyżej skakałeś dopiero wtedy, kiedy miałeś widzów. Jak prezydent lub sławny aktor, którzy potrzebują poklasku i uznania widowni.

Na przechadzkach byłeś mi nieodstępnym towarzyszem, w domu zaś pomagałeś mi swoim spokojem w pracy, leżąc opodal biurka na dywaniku, założywszy z powagą i wdziękiem przednie łapy jedna na drugą.

Wyrósłeś na silnego, dużego wilka o szerokiej klatce piersiowej, smukłym stamie i potężnych łapach. Szerząc przybrała ci wyraźny ciemno-szary kolor o pięknym połysku, przypominając do zbudzenia kosztowne futro srebrnego lisa. Ze spiczastego pyska, zakończono czarną, wilgotną płamą nosa i uszami ostro sterzącymi w isticie widczym nasłuchu, bistrze patrzyły oczy barwy leśnego, ciemnego miodu.

Z biegiem czasu poznaliśmy się na wkrótce, zwłaszcza odkąd zostaliśmy sami w naszym przytulnym mieszkaniu. Poznaliśmy swoje zwyczaje, nawet narowy i słabostki. Wiedziałem na przykład, że chociaż powodowany wrodzonym ci poczuciem taktu nie okazujesz wyraźnie niezadowolenia, to jednak nie lubisz głośkania, że natomiast prawdziwą przyjemność sprawia ci spokojne położenie przez mnie ręki pomiędzy twoimi uszami na miękkim jak aksami, srebrzysto szarym łbie. Wiedziałem także, że obiad muszę koniecznie zamieszać ci łyżką i zachwilić jego zalety, bo inaczej gotów byłeś wcale go nie jeść.

Ty zaś wiedziałeś, że nie lubię, kiedy bez prawdziwej potrzeby otwierasz drzwi z klamki — czego już sam, bez moich wskazówek się nauczyłeś — to też nie nadużywałeś tej swojej umiętności, chyba... chyba, że była to pora wiosennych psich czasów, z których przeprowadzałeś zausami swoją wybraną, widocznie abym pochwalił twój gust.

Dobrze nam było ze sobą. I ty, i ja lubiliśmy wieść i spokój, w zbytlicznej zaś gromadzie czuliśmy się nieswojo. Skoro wybieralem się dwa razy w tygodniu na stację kolejową, aby pojechać do miasta dla załatwienia bieżących spraw, nie zdradzałem najmniejszej ochoty do towarzyszenia mi, nawet głowy nie podnosiłem z dywanika i tylko wodziłem za mną swoimi wiernymi oczami, pomimo, że przed codzienną naszą przechadzką radowałeś się całą swoją psią duszą. Skąd wiedziałeś, że nie wyruszę na spacer, lecz do miasta — pozostanie twój tajemnicą. Może odgadywałeś to z moich odrobinkę tylko pośpieszniejszych ruchów i nieco odmiennego niż zazwyczaj zachowania?

Kiedy zaś wracałem, nieraz późnym wieczorem, witaleś mnie w ciuchym naszym mieszkaniu, gdzie tylko zegary tykały, objawami takiej szczerzej radości, takiego przywiązania, że po prostu nie miałem czasu zastanawiać się nad pustką naszej siedziby, nad brakiem ciepłej dłoni, która kochającym, zatroskanym ruchem zdjełaby pajęczynę zmęczenia z mojego czoła...

Ale przyszła wojna... I pewnego dżdżystego dnia jesiennego wypadło mi wyjechać, bo groziła mi zguba od złych ludzi, którzy raz i drugi naszli nasze mieszkanie. Ludzi zbyt głośno mówiących i zbyt głośno stukających podkutymi butami, które pozostawiały brzydkie, mokre ślady na podłodze... Jakże ścń nie znosiłeś, tych brutalnych drabów, którzy krzyczyli coś w niezrozumiałej mowie, którzy nie chcieli uszanować ciszy i spokoju, tak nam obu drogocno!... Nie mogłem cię zabrać, piesku!... W warunkach tułacznych, w obcych, nieznanych kątach nie było da ciebie miejsca. Chociaż gdybym był wiedział...

Kiedy kąpałemś pośpiesznie wazijkę, nie odstępowaleś mnie na krok, raz po raz zaglądając mi w oczy z niepokojem spojrzaniem. Czy powiniennem się tego wstydzić, czy to przezczenie, że myślę teraz o tym, czuję wilgoć pod powiekami?

Poleciłem cię przecież troskliwej opiece gospodarzy, którzy zostawali. Zobilem wszystko, aby po moim wyjeździe było ci znośniej... Nie przypuszczale, że jestem ci aż tak bardzo potrzebny.

Po 6 tygodniach doniesiono mi po prostu, że nie żyjesz... Podobno nie chciałeś jeść, marniałeś z dnia na dzień, dziczałeś... Twoje niespokojne zachowanie, twoje wycie zaważdało przybyłszom, którzy rozpoznażyli się w naszym mieszkaniu, jak u siebie... Próboważy ci obłaskawić, ale raz i drugi ugryzłeś głośczącą cię rękę, które widocznie nie dawałesz się, więc cię... zastrzelili.

Skrzywdziłem cię, „Szary”, nie zabierając pomimo wszystko ze sobą... Ale poniosłem karę, bo do dzisiaj dręczy mnie przeświadczenie, że opuściłem przyjaciela w nieszczęściu. Pomimo, że tym przyjacielem byłeś „tylko” ty, piesku!

UWAGA na Niemcy!

MEIN SCHATZ — MY DARLING

Dawno już wyjechali z Niemiec ci żołnierze amerykańscy, którzy poprzez wspaniałą epopeję lądowania na kontynencie europejskim w zwycięskim i zdobyczym pochodzie dotarli nad Łabę, gdzie podali sojusznice ręce bohaterским obrońcom Stalingradu oraz pogromcom hydry hitlerowskiej w Berlinie — żołnierzom Armii Radzieckiej. Te dzielne oddziały frontowe armii amerykańskiej widziały na własne oczy słony trupów: ofiar dzicy hitlerowskiej, poukładane na dziedzińcach obozów koncentracyjnych, czuły jeszcze zapach spalonych w krematoriach żywcem palonych ludzi, natrafiali na każdym kroku na niezłatwie ślady okrucieństw i potworności, na których włosy białej wstępy krew zastąpiła w tyłach. Ci żołnierze pierwszej linii zetknęli się z ohydą i bezczeststwem t.zw. kultury narodu, który jedyny na świecie mienił się „Herrenvolkiem”. Postawa tych oddziałów amerykańskich była też na ogół — z małymi wyjątkami — taka, jaką być powinna, przetrzymując z szacunkiem i szacunku, pogardą dla narodu, który z entuzjazmem i zapałem szedł pod przewodnictwem tych zbrodniarzy na „zdobycie świata” poprzez zwaly trupów i morza krwi.

Ale oddziały zwyciężców odesłano do domu. Zza oceanu przybyli na ich miejsce nowi żołnierze, nieświadomi z początku obyczaju, wśród nich wielu Amerykanów pochodzenia niemieckiego, którzy mają w krwi nie tylko wrodzoną sympatię dla narodu niemieckiego ale i dla hitlerizmu. Od tej chwili zrodziła się na terenie Niemiec generalna fraternizacja niemiecko-amerykańska, która przetrwała przez lata i przetrwała mimo fali krytyki i skądś wzięła rzecz niemiecką „mein Schatz” — która miała wpływ na amerykańskiego mężczyznę, który nie umiał w odpowiedniej chwili powiedzieć: stop!

Władze wojskowe z początku wydały szereg ostrych zezwoli przepiślowych, zabraniających żołnierzom nawiązywania kontaktów z Niemkami, ale miały one ten tylko skutek, że dyscyplina wojskowa tym bardziej się rozluźniała. Zakazy pozostały więc tylko na papierze, wydano natomiast szereg przepisów formalnych, regulujących niejako współżycie Amerykanów z Niemkami. Dzisiaj góra wyzaszy już tak daleko, że wolno każdemu Amerykaninowi żenić się z Niemką po załatwieniu pewnych formalności. Aby zaś przyszłym Amerykanom ułatwić poznanie amerykańskiego życia towarzyskiego, wprowadzono t.zw. paszporty wstępu do klubów wojskowych, które dotychczas były dla obcych zamknięte. Paszport taki uzyskuje pentika niemiecka po złożeniu zaświadczania poręczonego przez dwóch świadków, że jest uczciwą i porządną dziewczyną. Następnie specjalna komisja niemiecka poddaje taką „Schatz, Darling” badaniu co do jej przeszłości. Jeden z korespondentów prasowych miał możliwość uczestniczenia w posiedzeniu takiej komisji w Zehlendorf, w amerykańskiej dzielnicy Berlina. Oto jego obserwacje.

Do poczekalni wchodziły trzy Niemki, ubrane już po amerykańsku, w gazowych Nylonach na stielzistych nogach, pantofelki na wysokich, klinowych obcasach, klipsy w małżowinach usznych. Śladają z nonszalanścią na ławce zakładając nogę na nogę, odśladując je przy tym powyżej kolan. Inne dziewczę berlińskie demonstracyjnie manipulują przy swych nowotkach skórzanymi torebkami, inne znowu amerykańskie pomocnoszą na szyi w postaci jaskrawych „zallików”. Prawie wszystkie cmią CAMELE, rozkoszując się nerwowo specyficznym aromatem. Oczekiwanie na dopuszczenie przed oblicze komisji wyraża niektóre z szczeniście zachowywanej równowagi. Jedna z frauleinów przyprowadziła z sobą swego amerykańskiego przyjaciela, urzędnika administracji cywilnej. Dziewczę ma szeroką, dobrze odżywną twarz, z amerykańską wymalowaną, elegancką, obszytą wydrą kostium, i czerwono-



ny, lśniący lakier na chwiej-ostrych paznokciach. Typ wampirzy. Jej amerykański przyjaciel, podenerwowany przeciągającym się oczekiwaniem, zwraca się do komisji, w paru energicznych słowach i jego fraulein zostaje w rezultacie amerykańskiej interwencji natychmiast poproszona. Przyjaciel drugiej Niemki był widocznie trochę nieśmiały i spacerował pod oknami komisji. „Schatz” tymczasem wpadła jak burza do pokoju i rzuciwszy okiem na zebrane tam w liczbie kilkadziesiątu, penteki, rzuciła gromkim, oburzoną głosem: „Co, to i tu trzeba czekać? Co za bezczelność! I to się nazywa paszport towarzyski!” — z silnym akcentem na słowo towarzyski.

Spokojnie tylko siedzi na ławce 17-letnia Niemeczka z Prus Wschodnich Opowiada

wszystkim wokół z błyskiem w oczach, że ma swego „stałego Am” i cieszy się, że będzie mogła z nim wspólnie chodzić do klubów a potem zabierać ją chytba do Ameryki. Darıw się tylko, że nie potrzeba przedkładać świadectwa lekarskiego. „No, ale jak się ma stałego — mówi — to nie potrzeba się przecież niczego obawiać”. Sledząca obok niej berlińska, typowa Berliner „Pflanze” zapytuje, co robi, jak ją jej John porzucił? „Ach — odpowiada 17-latka, nie tracąc rezonu — na razie jest przecież przy mnie, a jak mnie mojej pokocha i ja mu zasmakuję, to na pewno nie zostawi mnie na „oczko. Już ja go będę pilnowała”.

Z godziwym niemal opinieniem wpada do pokoju sążawko, które wytworzył strojem buzi: sensację wśród wszystkich obecnych. Przed dom zajeżdża wspaniały Chrysler. Berlińskie zjawisko otwiera z halasem okno i woła głośno, akcentując krzde słowo: „Saló, M’i! Iake some minutes”. Po chwili, zniecierpliwiona przedstawicielką „narodu pańów”, obcięcie z powołania Kochanki amerykańska, rzuca gniewnie „Schweineri!” pod adresem komisji, tym bardziej, że akurat wyłożono światło z powodu „Stromsperrę”. Przewodniczący z świecą w ręku ogląda od stóp do głów krzewik zawiśko.

Tak odbywa się proces przemiany niemieckiej Schatz na amerykańską Darling, dla której wątpliwej wartości ponęt Amerykanie stracili głowę. To samo mniej więcej odbywa się w Wiedniu z pewnymi lokalnymi odmanami. Wychodzące w Wiedniu pismo „Arbeiter Zeitung” pisze o wiedeńskich tak: „Wiedeńka nie jest ani lepsza ani gorzej od innych kobiet na świecie i jej zalety — widzieć są znane nie tylko z walców i operetek. Ale jest u nas wiele dziewcząt, które w r. 1938 rzuciły się na szyję żołnierzom Hitlera. Ich miłość dla munduru nie zmalała bynajmniej z chwilą wkroczenia wojsk alianckich. Skłonność do żołnierzy łączy z praktycznym zdobycia czekolady, papierosów i konserw. Iż to z nich czeka przed koszarami, przy czym jest im całkiem obojętne, kto stanąłdy wyjdzie. A przecież wiedeńki, którzy na tym na prawdę zależy, zawsze znajdują sobie porządnego chłopca wiedeńskiego”.

Bob-Dan



„Wuj Sam” uczy dzieci swoje a ma ich wszystkich sto dwadzieścia trzech... W tym wypadku chodzi o opiekę, jaką rozszerza armia amerykańska nad młodzieżą niemiecką.



Anglik Wooderson mistrz Europy na 5 km.



Rekordzista radziecki w skoku o tyczce, wicemistrz Europy, Ozolin.



Rekordzista radziecki na 400 m. Khamarow.



Sredniodystansowiec francuski Hen- senne ustanowił niedawno nowy rekord Francji na 800 m.



Najlepszy oszczepnik Szwajcarii, Neumann.



Swietny sredniodystansowiec ra- dziecki Pugaczewski.



Jeden z czołowych oszczepników Europy, Szwed Eriksson-Dalafloda.



Mistrz Europy w skoku wzwyż, Szwed Bolinder.



Długodystansowiec francuski, mistrz Europy w biegu na 3 km. z przeszkodami, Pujazon.

PIERWSZE DNI SIERPNI

Pierwsze dni sierpnia przyniosą prawnie we wszystkich krajach Europy mistrzostwa lekkoatletyczne poszczególnych państw (w Polsce odbyły się wcześniej). Na taki pomysł wpadli przedstawiciele wielu krajów w Międzynarodowej Federacji Lekkoatletycznej (IAAF) — do której ostatnio przyjęty został Związek Radziecki.

Pomysł organizowania mistrzostw krajowych w jednym okresie pozwala na porównanie formy lekkoatletów Europy. Zobaczymy więc, jak wypadnie ta generalna próba przed przyszłoroczną olimpiadą. Czy Europa jest daleko w tyle za Ameryką...

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAWCA: SPÓŁDZ. *
WYD. „PŁOMIENIE”

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, ul. GRAZYNY 8. TEL. 8-51-32
PRENUMERATA KWARTALNA ŻŁ. 225 — Z PRZESYŁKĄ DO DOMU
WPŁACAĆ NA KONTO P. K. O. WARSZAWA, Nr I - 4252

REWIA LEKKOATLETOW EUROPY



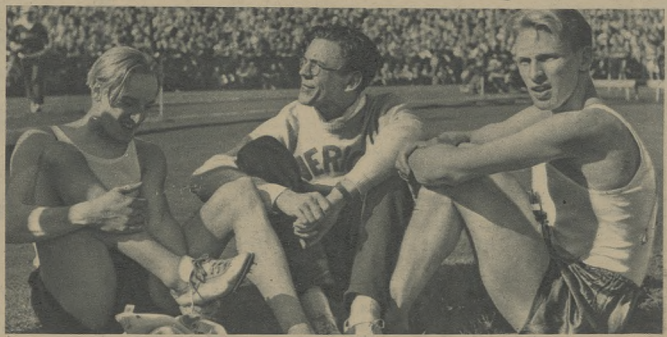
Mistrz Europy na 400 m, Duńczyk Holst-Soerensen



Rekordzista świata na długich dystansach, następcą Norwieskiego Fos, Herno.



Młody, utalentowany oszczepnik norweski Mehlum.



Trójka szwedzkich asów, od lewej: mistrz Europy na 1500 m — Strand, mistrz Europy na 110 m przez płotki — Lidman i twice mistrz Europy na 1500 m — Erikson.